ROZMAITOŚCI.

Dnia 12 lipca, Nr. 28. roku 1845.

Wtorek i Piątek.

(Dokończenie.)

„Znalazł ją?" zawołałem.

„Nie," odpowiedział mój towarzysz; „ale zfatygował się okropnie, i gdy w poniedziałek w wieczór rzucił się na łóżko, spał całą noc jak zabity." Ruszyłem ramionami, a mój towarzysz postrzegłszy to, uśmiéchnął się i tak daléj mówił — „Nie byłto wszakże sen pokrzepiający. Obudził się na drugi dzień p. Michał z mocnym bolem głowy, i czuł w całém ciele bijące pulsa. Lecz że to był wtorek, przed jedenastą jeszcze poszedł do ogrodu. Usiadł samotny na ławeczce, i oparłszy łokieć na kolano a na dłoni położywszy twarz smutną i bladą, zadumał się; wtém poczuł, że delikatna ręka dotknęła się jego ramienia. Podniósł się, byłato Marynia. Ale twarz jéj bledsza, niż kiedykolwiek, miała wyraz głęboki powagi i smutku. Wziął jéj rękę p. Michał, pierwszy raz przycisnął ją do ust, potém tuląc do serca, rzekł: „Zlitowałaś się nareszcie nade mną;" i dwie łzy potoczyły się po jego twarzy. Ona widocznie rozrzewniona, ścisnęła jego rękę i odpowiedziała:

»Więc pan nie możesz mię zapomnieć? Inna kobiéta pyszniłaby się takiém przywiązaniem zacnego człowieka; a mnie sprawia ona niewysłowioną boleść."

„To znaczy że mię nie kochasz. Nie maszże dla mnie ani odrobiny życzliwości, ani przyjaźni?"

»Czyżbym tu przychodziła?" rzekła rumieniąc się z lekka.

»O, droga pani!„ odezwał się z zapałem p. Michał. »Dlaczegoż mię dręczysz?"

»Pójdź pan ze mną!" odpowiedziała smutna. Porwał się z miejsca. Ona oparła się na jego ramieniu i poszli dosyć śpiesznie. Prawie całą drogę nic do siebie nie mówili; nie wiedział, czy go czekało szczęście, czy jaki cios niespodziewany; raz trwoga ściskała jego serce, to znowu gdy spojrzał na nią idącą obok siebie, gdy poczuł jéj magnetyczne zbliżenie, był szczęśliwym i pełnym nadziei. Już byli na ulicy Freta i przy samym jéj końcu weszli do jednéj niepokaźnéj kamienicy. Na schodach serce okropnie biło w piersiach p. Michała, i pulsa rozrywały mu skronie, musiał się zatrzymać i odetchnąć. Weszli wreszcie do mieszkania na drugiém piętrze. Pokoiki były małe, ale czysto i gustownie nawet ubrane. Wszędzie widać było rękę kobiéty, która lubiła porządek, miała chęć i cierpliwość zajrzéć do każdego kącika. Obejrzał się p. Michał; nie było nikogo i cichość zupełna.

„Gdzież ojciec pani?" zapytał spojrzawszy na pałasz, który stał w kącie.

„Mego ojca nie ma teraz w domu;" odpowiedziała. „Usiądź pan tu i odpocznij, ja zaraz przyjdę." Wyszła do trzeciego pokoiku, zamknęła drzwi za sobą, i wkrótce usłyszał p. Michał stłumione szlochanie. Sam nie wiedział jak to sobie wytłómaczyć i czego się miał spodziewać, ale czuł, że się serce w nim krajało. Zerwał się, chciał wejść i do nóg się rzucić, ale jakaś dziwna obawa wstrzymała go na miejscu. Po chwili drzwi się otwarły, i Marynia z zapłakanemi oczami, z twarzą okropnie bladą wyszła i dała mu znak, aby wszedł za nią. Wszedł więc p. Michał drząc cały, w oczach mu się ćmiło; ledwie mógł stać na nogach. Byłto jéj sypialny pokoik; ale obok jéj łóżka stało drugie łóżeczko zakryte delikatną i białą firanką. Przystąpiła Marynia wpółżywa, podniosła zasłonę, i p. Michał obaczył dziecię dwuletnie, pogrążone we śnie. Rumieniec zdrowia tlił się na pulchnéj twarzyczce, białe włoski wiły się po delikatnéj skroni; czysta i cienka bielizna je okrywała; wszystko pokazywało, że to śliczne dziecię było jedynym celem życia matki. Osłupiał melancholiczny p. Michał na ten widok, *et vox faucibus haesit.* A pamiętasz jak nam ks. Osiński to miejsce tłómaczył?"

„A dajże mi pokój," rzekłem zniecierpliwiony; „mów daléj."

Uśmiéchnął się jak zwykle, i tak daléj mówił: »Pan Michał stał oniemiały; Marynia oparłszy się o łóżeczko, milcząc poglądała na niego z wyrazem dziwnéj jakiejś i jakby dumnéj spokojności. Nareszcie rzekła: »Oto jest moje dziecię, a ja nie mam męża. Czy pan mię chcesz teraz?" Zimny pot ob-

lał p. Michała. Zdawało mu się, że sufit leży na jego głowie i ciśnie go do ziemi. Nie mógł znaleźć słów do odpowiedzi, i w rzeczy saméj trudno było odpowiedzieć. Wszystkie illuzyje, wszystkie marzenia, któremi zdobił swoję przyszłość, odbiegły go nagle. Został tylko sam na sam z gorzką prawdą, która mu pokazała twarz suchą, bez rumieńca, bez uśmiéchu, podobną do piątego podania 1széj księgi gieometryi Euklidesa. Postrzegła stan jego Marynia; zasunęła firaneczkę, która okrywała jéj skarb, i wyszła do drugiego pokoju. P. Michał machinalnie wyszedł za nią, ona wróciła nazad, stanęła we drzwiach i rzekła: „Chciałeś pan wiedzieć, wiész teraz. Szanuję twój charakter, cenię wysoko twoję miłość dla mnie, i wyznaję, że przy tobie możeby moje oczy oschły z płaczu i serce odżyłoby i otworzyło się szczęściu ziemi. Mogłabym była ukryć mój wstyd, ale nie chciałam pana oszukiwać. Namyśl się więc dobrze, czy możesz być mężem dziewczyny biédnéj i zwiedzionéj; czy możesz być ojcem i opiekunem tego dziecka, które ci codzień błąd mój przypominać będzie, a które ja kocham więcéj niż życie. Pojutrze o godzinie jedenastéj czekam pana.” To powiedziawszy zamknęła drzwi i klucz dwa razy obrócony w zamku stuknął przeraźliwie. P. Michałowi zdało się, że leży w trumnie spuszczonéj już do grobu i słyszy nad sobą stuk tych grudek ziemi, które najprzód ksiądz, potém krewni, daléj znajomi i nieznajomi zrzucają na wieko.

»Ciekawa byłaby rzecz wiedzieć,” dodał po chwili mój towarzysz, „co sobie myślał Napoleon, gdy opuściwszy plac boju pod Waterloo, rzucił się do karéty i leciał pędem strzały przez Francyję, która mu się zpod nóg wysunęła i nie była już jego własnością.”

„Aležeś skoczył!” rzekłem.

„Nie tak bardzo, jak ci się zdaje,” odpowiedział, „i mógłbym ci tego dowieść; ale wróćmy do p. Michała. Przygnieciony swojém dziwném położeniem, usiadł i zakrywszy sobie twarz obiema rękami, myślał o czém? o tém samém, o czém myślał Napoleon wracając zpod Waterloo, t. j. o wszystkiém i o niczém. Opowiadał mi potém, że nawet biuro przychodziło mu na myśl, i mnie widział przy stoliku uśmiéchającego się do papierów. Jak długo tak siedział, nie pamięta. Nagle usłyszał w drugim pokoju płacz dziecka. Przerażony tym krzykiem, jakgdyby kamienica miała się zwalić na jego głowę, zerwał się, chwycił za kapelusz i uciekł. Biegł tak bez pamięci przez różne ulice. Wszędzie go ścigał ten płacz niewinnego dziecka. Widział tłum ludzi, ale żadnéj twarzy rozróżnić nie mógł. Czuł że mu się miesza w głowie, że żadna myśl stać nie chce na miejscu, ale wszystkie razem plącząc się z sobą i harcując wkoło, najdziwaczniejsze wyprawiają kozły. Wreszcie po długiéj gonitwie, znalazł się sam nie wie jak i kiedy, w Łazienkach. Wycieńczony, bezsilny, z gorejącą głową, rzucił się na chłodną ziemię i leżał tak do wieczora. Szczęściem żołniérz jakiś przechodził tamtędy, zbliżył się, i poznawszy że człowiek chory, pomógł mu powstać, posadził na ławeczce, a sam pobiegł poszukać dorożki. W godzinę przyjechał poczciwy wiarus, pomógł p. Michałowi wejść do koczyka, podziękował za dwuzłotówkę, którą dostał za fatygę, i wkrótce potém p. Michał był już u siebie i w łóżku. Ciało jego trzęsło się od zimna, a głowa płonęła jak ogień. Przestraszony służący, nie wiedząc co robić, przybiegł do mnie. Pojechałem natychmiast i zastałem go w gorączce. Całotygodniowa męczarnia gdy sądził, że już jéj nie znajdzie, gwałtowne wstrząśnienia dnia tego, fatyga i przeziębnięcie, przyprowadziły go do tego stanu. Udałem się do doktora M., którego imię było już wówczas głośne; szczęściem zastałem go w domu i przywiózłem z sobą. Dzielne i umiejętne środki i odpoczynek, przywróciły wkrótce zdrowie p. Michałowi. Już trzeciego dnia gorączka została przerwaną, ale nie mógł jeszcze wstać z łóżka. W tydzień dopiéro mógł wyjść z domu. Miał więc dosyć czasu do namysłu; jakoż namyślił się i postanowienie jego było niezachwiane. Choć nie znał okoliczności jakie towarzyszyły jéj błędowi, wiedział przecież dobrze, że tylko młodość i niedoświadczenie, nie zepsucie, mogło być jego przyczyną. Czuł przytém, że mu bez niéj żyć niepodobna, a przynajmniéj, że życie takie nie miałoby ani jednego uśmiéchu, ani jednego kwiatka. Ten śliczny aniołek, którego płacz tak go niedawno przeraził, teraz do niego wyciągał rączki; on go w myśli tulił do serca, a oczy matki patrzały nań z niewysłowioną wdzięcznością i miłością. Rozmarzony témi obrazami, ubrał się i pojechał na ulicę Freta. Gdy wszedł na schody, usłyszał na drugiém piętrze niezwykłą jakąś wrzawę. Gniewny głos kobiety, ale takiéj, która lubi gospodarować głośno, krzyk ludzi wynoszących meble, stuk młotka uderzał jego uszy. Nie pojmując coby to mogło znaczyć tam, gdzie niedawno było tak cicho, pobiegł prędzéj. Gruba jakaś jéjmość z pękiem kluczów, wydawała rozkazy; wszystkie drzwi były otwarte, i stołki, stoliki, kanapa, stały na środku jakby przygotowane do wyniesienia.

„Co to znaczy?” zapytał p. Michał przelękniony.

„Albo to jegomość nie masz oczów i nie widzisz co to znaczy?” odpowiedziała gruba pani. „Wynoszą meble, które musiałam wziąć za to co mi się od nich należało. Dużo mię, mój jegomość, kosztują te graty, z któremi nie wiém co zrobię. Ale cóż było robić. ludzie biedni, P. Bóg mi to nagrodzi. Ale cóż jegomość tak na mnie patrzysz? Czyto ja nieprawdę mówię, czy co?”

„Więc oni już tu nie mieszkają? przenieśli się gdzie indziej? co?” rzekł p. Michał, i czując że się pod nim zginają kolana, usiadł na krześle.

„Ij, gdzie zaś przenieśli się;” odpowiedziała. „Oni zupełnie wyjechali z Warszawy.” A widząc że p. Michał okropnie pobladł, zawołała: „A słowo stało się. Coto jegomości?”

„Dokąd wyjechali?” zapytał p. Michał cichym głosem.

„A czy ja wiém, mój jegomość!” odpowiedziała ruszając ramionami. P. Michał posiedział, pomyślał, zapłacił pięćset złotych gospodyni, które się jéj należały od majora; kazał meble nazad poznosić, i najął to pomieszkanie na dwa miesiące. A gdy ludzi odprawił, zaprosił gospodynią do pokoju, usiadł i zaczął namyślać się co powiedzieć. Twarz jego była strasznie blada, usta drżały, ręce się trzęsły. Poprawiał sobie włosy co chwila, podnosił je ręką na czole, które tarł niemiłosiernie, i tak siedział i milczał. Gospodyni patrzyła nań długo, potém uśmiéchnęła się pomyślawszy, że zgadła przyczynę jego zmartwienia i rzekła: »Już ja to widzę, oni i jegomości winni. To źle, ale cóż począć? Martw się jegomość, nie martw, a pieniądze jegomości przepadną, bo nikt nie wié dokąd pojechali. Trzy dni temu wieczorem zaszła żydowska bryka, spakowali rzeczy, mnie oddali za dług wszystkie te graty; stary major płakał, a biédna panienka otuliwszy swoje dziecko, blada jak trup, wyszła naprzód i usiadła w bryce. O mój jegomość, coto za anioł ta nieszczęśliwa dziewczyna, którą niewdzięcznik jakiś, żeby go Bóg ciężko skarał, pozbawił losu i zdrowia. Jak ona to dziécię swoje chowała, jak jakie paniątko, a jednę tylko mieli sługę, a trzeba było widziéć mój jegomość, jakto u nich wszystko było czysto i porządnie.”

»Jak się nazywa stary major?” zapytał wreszcie p. Michał.

„To jegomość nie wié jak się nazywa major? a pożyczał im pieniędzy i jeszcze i teraz zapłacił za nich pięćset złotych!” Nie mogło się to pomieścić w głowie gospodyni; nareszcie po różnych jéj uwagach, dowiedział się p. Michał, że major nazywa się Jakób Groiński. Kto zaś był ten niegodziwy, który nadużył zaufania młodziutkiéj panienki, i stał się przyczyną jéj nieszczęścia, o tém nie wiedziała gospodyni. O tém podobno i ojciec nie wiedział, choć długo męczył i bił biédną, aby mu odkryła zdrajcę.

Westchnął głęboko p. Michał, zakrył sobie twarz i tak siedział. Gospodyni patrzyła nań długo, kiwała głową i pomyślała sobie: oto gospodarny człowiek! jak żałuje straconego grosza. Nareszcie p. Michał powstał i odprawił ją. Gdy został sam, zamknął się na klucz, poustawiał wszystko jak było, pochodził, popatrzył, czy nie znajdzie jakiego śladu, jakiego listu, wszędzie było pusto. Po dwóch godzinach wrócił do domu. Na progu oddał mu służący list, przyniesiony przez weterana z Mokotowskich rogatek. Rozpieczętował go i znalazł te słowa: „Wiedziałam o tém, że nie przyjdziesz. Chociaż wierzę w szlachetność twego serca i w twoje przywiązanie do mnie, nie mam ci jednak za złe, żeś mię zostawił memu losowi. Czuję to sama, żem niewarta ofiary, jakąbyś mi był przyniósł, pokrywając swojém imieniem mój błąd i moję hańbę. Byłabyto niezasłużona nagroda za występek, który wart kary. Uciekam ztąd, gdzie mi wszystko przypomina i chwile ciężkiego zapomnienia, i bolesny czas mojéj pokuty, i godziny słodkiéj pociechy, jaką czerpałam w twojéj rozmowie, drogi mój przyjacielu! i w tém przekonaniu, że znalazła się jeszcze choć jedna istota, która skłoniła myśl i serce swoje ku mnie, bo mnie już więcéj nie obaczysz. W nieznanym zakącie kraju zagrzebię krótką resztę dni, które mi stwórca przeznaczył. Bądź zdrów, mój drogi! całą duszą wdzięczna ci, Maryja.”

Gdy służący wszedł do pokoju usłyszawszy jakiś stuk, zastał swego pana na ziemi, bez zmysłów. Podniósł go, zaczął trzeźwić, przyprowadził do przytomności i położył w łóżko, z którego biedny p. Michał przy najusilniejszych staraniach dra. M. ledwie w miesiąc potém powstał. Wszakże wypadek ten uderzył za mocno jego melancholiczny umysł. Gdy zupełnie przyszedł do zdrowia, nie odzyskał już i téj odrobiny wesołości, którą miał dawniéj. Mnie nie unikał, owszem opowiedział mi całą tę historyję, prosił tylko, abym się nie uśmiéchał, gdy będzie mówił. Podzielałam jego strapienie, nie uśmiéchałem się, bo i nie było powodu, i odtąd p. Michał przywiązał się do mnie daleko więcéj, bo ze mną tylko mógł o niéj mówić; bo choć mi dziesięć razy powtarzał wszystkie szczegóły swojéj krótkiéj z nią znajomości, ja zawsze słuchałem cierpliwie.”

„I nie szukał jéj?” zapytałem.

„Widno że piszesz dramata,” odpowiedział mój towarzysz z wiecznym uśmiéchem — „i czém prędzéj dążysz do końca, jak gdybyś miał przed sobą kilka set głodnych spektatorów, którzy nie czekając rozwiązania, powstaną i wyjdą. W opowiadaniu to co innego. Powieść czyta się zwykle do poduszki, lub po obiedzie, kiedy żołądek pełny i nie można poważniejszą rzeczą zajmować głowy. Wtenczas czytelnik nie śpieszy i owszem gniewa się, gdy wszystko leci do końca piorunem.”

„Masz racyją,” rzekłem, „ale wróć, proszę cię, do p. Michała.”

»Otóż wracając do p. Michała, powiém ci, że w takim stanie smutku i melancholii przebył całą zimę. Gdy nadeszła wiosna, odzyskał prawie zupełnie zdrowie, ale razem z siłami fizycznémi po-

wróciła miłość z całą gwałtownością i żądzą obaczenia Maryni, choćby raz jeszcze w życiu. Jako urzędnicy Komissyi Spraw Wewnętrznych, mieliśmy więcéj sposobności niż kto inny do robienia poszukiwań. Rozpisaliśmy więc do wszystkich miast i miasteczek, do jednych z prośbą, do innych z poleceniem. Długo nie było żadnéj odpowiedzi, lub przychodziły niezaspokajające. Nareszcie, jednego dnia, zdaje mi się na początku czerwca, odebrał p. Michał list od burmistrza miasta Hrubieszowa, w którym mu donosi, że od niejakiego czasu osiadł w ustronnym domku na przedmieściu major Groinski, z jakąś wdową młodą ale chorą, któréj nikt jeszcze nie widział. Czy to była jego córka, czy jaka inna, tego z pewnością nie wié, bo nie miał żadnego powodu tak srogo egzaminować zasłużonego oficera, który żyje zamknięty, nikogo nie zna i nikomu żadnéj krzywdy nie robi. Łatwo się domyślisz, że na drugi dzień po odebraniu tego listu p. Michał już był w drodze. Piątego dnia około godziny czwartéj po południu, obaczył przed sobą dziedzictwo naszego filozofa, z którego skąpstwa śmiano się, póki żył, a którego miłości ludzi i dobra publiczności nikt nie naśladował. Wjechał na przedmieście i postrzegł na ulicy tłum zebranego ludu. Przed jednym z czystych domów miasteczka, powiewały chorągwie, i zdaleka ulicą zbliżali się tamże księża, z krzyżem, który ich poprzedzał. Wyskoczył p. Michał z bryczki, rozparł tłumnie zbitych ludzi, zbliżył się, i przede drzwiami domku, ujrzał siedzącego na ławeczce dymisyjonowanego oficera z siwemi włosami, ale z zakrytą twarzą. Koło niego na lewo był przed oknami maleńki ogródek, otoczony sztachetami i napełniony mnóstwem kwiatów; okna były otwarte, a przez liście akacyi, przez błękitne pęki dokwitających już bzów, przez bukiety róż zaglądające do okien, błyskały świéce, które otaczały katafalk. P. Michał przeszedł prędko obok siedzącego przy drzwiach oficera, rozepchnął ściśniętych w sieniach ludzi i stanął przy tém uroczystém łożu, które się raz tylko dla każdego z nas zaściela. Leżała na niém młoda i śliczna kobieta. Biała suknia spadała po bokach katafalka; maleńkie nóżki w delikatnéj pończoszce, związane były białą wstążeczką; w czarne jéj włosy wpleciony był wianek z białych róż, a na marmurowéj jéj twarzy, czerniły się tylko równe brwi i rozlegał się delikatny cień długich jéj rzęsów. W ręku miała krzyżyk drewniany, a poduszka jéj obrzucona była wokoło kwiatami. Byłato Marynia, równie piękna jak za życia, ale na czole jéj nie było myśli, w oczach nie było duszy, w ustach nie było głosu, który tak przenikał p. Michała. Zbliżył się on zwolna, patrzył długo w twarz tak mu dobrze znajomą; ale ani westchnieniem, ani jękiem, ani łzą, ani żadnym ruchem nie okazał, że rozpacz w jego sercu, że życie i szczęście jego wkrótce zamkną do stojącéj obok trumny. Bo milczenie jest najwyższym wyrazem równie dla wielkiego szczęścia, jak dla nieskończonéj boleści. W śmierci najwidomiéj objawia się nam Bóg i jego wszechmocna potęga. Głupi tylko nie umié ukorzyć się przed majestatem katafalku, i krzykiem i łzami chce podnieść tę głowę, którą ręka Stwórcy przycisnęła na wieki do śmiertelnéj poduszki.»

Gdy to mówił mój kolega, p. Michał przeszedł przed nami ulicą, stanął przed ławeczką, patrzył tam długo, i poszedł daléj. Nie mogłem się wstrzymać od mimowolnego rozrzewnienia; łza zakręciła się w moich oczach, postrzegł to mój towarzysz, uśmiéchnął się i tak daléj mówił: — Gdy p. Michał odprowadził Marynię na cmentarz i rzucił grudkę ziemi na jéj trumnę, wtenczas dopiéro rozmierzył całą głębię swego żalu, który miał być równie nieskończonym, jak nieszczęście jego było wielkie i bez miary. Nie miał już co robić w Hrubieszowie; napisawszy więc kilka słów do majora, wsiadł do powozu i pojechał nazad. List jego był takiéj treści: „Majorze! kochałem córkę twoję nad życie. Nie mogłem osłodzić jéj niedoli i zatrzymać ją dłużéj na ziemi. Jeżeli ty majorze, lub jéj dziecko, czegokolwiek potrzebować będziecie, oto mój adres. Wszystko co mam, jest na wasze usługi.”

We trzy lata potém, powracał p. Michał z Hrubieszowa, dokąd co roku jeździ, i stanął na popas w Krasnymstawie. Poszedł do traktyjerni chcąc się czemkolwiek posilić, i usiadł sobie spokojnie przy ustronnym stoliku. Na środku pokoju stał stół okrągły i przy nim siedziało siedmiu czy ośmiu oficerów od ułanów. Już widać byli po obiedzie, bo butelka krążyła prędko, i rozmowa stawała się coraz głośniejszą i coraz brudniejszą. Przechwalali się młodzi żołnierze swemi dziełami na polu miłości, i każdy z nich zaczynający opowiadanie, starał się przesadzić swego poprzednika. Nie szczędzili nawet nazwisk tych pań i panien, które zawierzyły ich zepsutemu sercu. P. Michał miał jeszcze w myśli cmentarz, na którym cały wczorajszy dzień przesiedział w dumaniu; marmurowy pomnik, który postawił Maryni i prosty napis: „Módlcie się za jéj duszę” który kazał wyryć, stał jeszcze żywo przed jego oczami. Nie mógł więc słuchać bez obrzydzenia tych rozmów, i nieskończywszy obiadu, chciał wyjść, gdy zaczęte opowiadanie jednego z oficerów, zatrzymało go na miejscu.

„Wszystkie wasze kontesy i kaśki,” rzekł ów oficer, sąto wory sieczki w porównaniu z moją Marynią, która mi kilka lat temu siedmnastoletnie skarby swoje otworzyła.”

„Zapewne jaka płaksiwa blondynka z czerwonemi pyszczkami?” rzekł inny.

„Mylisz się, rotmistrzu!” odpowiedział pierwszy-

Najśliczniejsza brunetka, jakiéj już potém nigdy nie widziałem.»

„Kiedyż to było?" zapytał rotmistrz. „Założę się, że się chwali."

»W r. 1822,» odpowiedział, „w Warszawie, na Podwalu, w bawialnym pokoju mojéj ciotki!... tu dodał więcéj szczegółów, których ci nie powtórzę i które p. Michał wymawiał zgrzytając zębami."

„Wielki mi tryumf," rzekł inny; »zapewne garderobianka twojéj ciotki."

„Pleciesz!" odpowiedział piérwszy, „któż rachuje i pamięta grzeczności garderobianek? To była panienka edukowana, śliczna, z gorącém sercem; ale jednę nieznośną miała wadę."

„Co? ciężki oddech?" rzekł rotmistrz śmiejąc się głośno. Na te słowa p. Michał uderzył nożem o talerz tak, że się rozbryznął na drobne kawałki. Spojrzeli nań wszyscy, a narrator tak daléj mówił: „Przeszkodził nam ten niezgrabny pan, który tłucze talérze. Otoż powiadam wam, że miała jednę, nieznośną wadę, to jest, że mię kochała i chciała koniecznie, żebym się z nią ożenił."

»Czegoś naturalnie nie zrobił," rzekł jeden z oficerów podkręcając siwe wąsy.

»Nie głupim," odpowiedział piérwszy. „Żona to tłómok za ciężki."

»Gdzież ona teraz?" zapytał rotmistrz.

»O! czy ja wiém? a mnie co do tego. Sześć lat temu, bójcie się Boga!"

»I nie żal ci jéj?"

„Żal mi, żem tylko jeden wieczór rozkoszny z nią przepędził." Poznałem ją u mojéj ciotki, gdzie przez niejaki czas bawiła. Była śliczna i pełna życia. Przez trzy miesiące udawałem miłość, a ona zakochała się do prawdy. Razu jednego moja ciotka pojechała na teatr, a ona została w domu dla bolu głowy. Stanąłem we drzwiach krzeseł, a obaczywszy że moja ciocia w loży sama jedna, cofnąłem się żeby mię nie dojrzała i pędem strzały na Podwale. Zastałem Marynię w bawialnym pokoju. Byliśmy sami, głowa jéj płonęła... i... ale dajcież mi pokój, jeszcze się wstydzę, że to był wieczór jeden i jedyny."

»Któż temu winien?" zapytał inny.

„Ja, i nie ja," odpowiedział piérwszy. „Na drugi dzień Marynia już powróciła do ojca. Żadne prośby mojéj ciotki zatrzymać jéj nie mogły. A ja odebrałem zgadnijcie co? ale nie zgadniecie. Oto odebrałem bilecik, prawie w tych słowach: »Karolu! zgubiłeś mię. Mój ojciec pozwoli, przychodź, nie opuszczaj nieszczęśliwéj." Parsknąłem ze śmiéchu i pojechałem konno na Nowy-Świat. We trzy miesiące odebrałem drugi bilecik takiéj podobno treści: »Karolu! jestem matką, mój ojciec wié o wszystkiém, męczy mię i katuje abym mu odkryła sprawcę mojego nieszczęścia: milczę i milczéć będę. Opuściszże mię Karolu! Przychodź, ón ci przebaczy i ja ci przebaczę". Pewny byłem że kłamie, że to była łapka, nic więcéj; przytém pani R* czekała mię w ogrodzie Saskim, nie miałem więc czasu długo nad tém medytować."

„A potémże co?" zapytał rotmistrz.

„A potém?" odpowiedział młody człowiek wstając i opierając się na poręczy krzesła, „pani R* była śliczna, grzeczniejsza niż mogłem się nawet spodziéwać; jéj mąż większy daleko mazgaj, niżelim sobie wyobrażał, i naturalnie o mojéj brunetce zapomniałem."

„Któż był jéj ojciec? Mnie się wszystko zdaje, że to jakaś gryzetka."

»Mówiłem ci, rotmistrzu, że nie. Jéj ojciec byłto dymisyjonowany major, nazywał się..." Na te słowa p. Michał zerwał się ze swego miejsca i krzyknął piorunującym głosem: »Nie wymawiaj pan jego nazwiska; za nadto brudne twoje usta".

»Co to jest?" zawołał oficer, „czy mi pan tego wzbronisz? Byłto major Groiński." Ledwie wymówił te słowa, gdy p. Michał podniósł rękę i uderzył go w twarz z całéj mocy. Potoczył się oficer daleko, wszyscy porwali się do szabel, ale widząc że p. Michał stoi nieporuszony, wstrzymali się. Wówczas zwodziciel biednéj Maryni przyskakując do niego zapytał: »Kto pan jesteś?" P. Michał powiedział mu swoje nazwisko i swój urząd.

„Dobrze," rzekł daléj trzęsąc się od gniéwu. „Możesz mi więc dać satysfakcyją; rozumié się że pistolety."

„Pistolety! pistolety!" krzyknęli wszyscy.

»Zgoda," rzekł p. Michał, »ale usiądźcie panowie." W jego głosie było coś nakazującego. Twarz poważna i blada, wyraz pełen szlachetności, dowód odwagi i siły który dał dopiéro, wszystko to skłoniło oficerów, że go usłuchali i usiedli. Wtenczas p. Michał opowiedział im historyją Maryni i swoję. Mówił z przeniknieniem, z boleścią pełną prawdy i wymowy; odmalował ją jako córkę, jako matkę pełną poświęcenia i miłości. Zacytował jéj ostatni list do siebie i nareszcie dał obraz tego widoku, na który natrafił w Hrubieszowie, gdzie spodziéwał się zanieść jéj pociechę i sam znaleźć szczęście. Gdy skończył, wszyscy byli wzruszeni, a zwodziciel siedział zdaleka w kącie z zakrytą twarzą. Spojrzał po nich p. Michał i dodał: „Słyszeliście panowie! Jakkolwiek jesteście zdemoralizowani i zepsuci, nie sądzę jednak, abyście byli pozbawieni wszelkiéj szlachetności. Powiedzcież, który z was zechce być sekundantem tego zbrodniarza?"

Spojrzeli po sobie oficerowie, ruszyli ramionami i żaden się nie odezwał.

»Jakto?» zawołał powstając p. Karol, „więc nie mam tu między wami żadnego kolegi? żadnego przyjaciela?"

Wszyscy milczeli, i ten i ów brał za kaszkiet, żeby się wynieść.

»Dobrze więc, nie chcecie aby był pojedynek,« krzyknął z rozpaczą opuszczony od wszystkich, „to będzie proste zabójstwo, bez świadka; bo rzecz ta na słowach skończyć się nie może. Pan to sam czujesz”.

„Ztąd niedaleko cmentarz Hrubieszowski; wolę więc tu umierać niż gdzieindziej;” odpowiedział zimno p. Michał. „Ale żebyś pan miał dowód,” dodał, »że się lituję nad twojem położeniem, chociażeś tego nie wart, przyjmuję pojedynek, i tych panów wszystkich proszę: aby byli naszymi świadkami, wszakże bez żadnego zobowiązania, jakie przyjmują na siebie sekundanci. O pół mili na drodze Lublińskiéj, będę panów czekał. Panowie wyjedziecie tam na spacer.” To powiedziawszy p. Michał wyszedł, kazał zaprzęgać, i o pół mili zatrzymał się i czekał. W pół godziny rozległ się po polu tentent kilku galopujących koni, i cała kompanija oficerów przybyła. Zwrócili na lewo do niedalekiego lasu, gdzie poszedł drożyną i powóz p. Michała. Siedząc w nim nasz bohatér, piérwszy raz od lat kilku uśmiechnął się na obraz śmierci, która go miała połączyć z Marynią. Gdy przybyli na miejsce, dwaj przeciwnicy z bronią w ręku stanęli naprzeciw siebie o kilka kroków. Nigdy zapewne nieboszczyk Albert Mir nie siadał z tak zimną krwią do tłomaczenia Andromaki, i nie stawał obojętniéj do pojedynku. Oficerowie niezsiadając z koni, uszykowali się z boku. Wtenczas p. Michał odezwał się: »Nie pojedynkowałem się nigdy, ale strzelam lepiéj od pana. Gdybym piérwszy strzelał, jak mam prawo, nie byłoby pojedynku, bobyś pan pewno nie żył. Strzelaj więc”. „Czy mam strzelać?” zapytał oficer kolegów. Wszyscy milczeli. „Strzelaj pan,” krzyknął p. Michał, „bo cię drugi raz uderzę.” Na te słowa oficer zatrząsł się, wymierzył i strzelił. Z głowy p. Michała zleciał kapelusz. Oficerowie siedzieli na koniach w milczeniu jak posągi. »Niechże ci teraz Bóg i cień jéj przebaczy, bo ja nie mogę,” rzekł p. Michał; wymierzył, ogień błysnął na panewce, huk się rozległ i oficer padł na ziemię. Zeskoczyli z koni koledzy, obstąpili go, ale już nie żył; ani jęknął, ani odetchnął, kula przeszła przez serce. Skłonił się p. Michał swoim świadkom, wsiadł do bryczki i pojechał.

Tu się zaczyna prozaiczna część jego historyi. Pod samym Lublinem dopędził go oficer od żandarmów z dwoma żołniérzami. Osadzono go w Lublinie pod strażą, po dwóch miesiącach przewieziony został do Warszawy i oddany pod sąd kryminalny. Dowiedziawszy się o losie p. Michała, dostałem się do jego więzienia. Nigdym go nie widział spokojniejszym. Gdy przyszła kolej jego sprawy, zamiast obrony, napisał całą historyją swoję i Maryni. Sędziowie czytali ją z zajęciem; żal im się zrobiło p. Michała; a pomniąc, że *summum jus, summa injuria*, korzystali z tak oryginalnego sposobu bronienia się i naznaczyli kommissyą lekarską. Pobiegłem do doktora M. uprosiłem go; on uprosił kolegów i wszyscy poświadczyli, że p. Michał ma pomieszane zmysły. Odesłano go do Bonifratrów, gdzie mieszkał dwa lata. W roku 1829 wyszedł z domu waryjatów, ale nigdy odtąd nie widziałem go innym, jak jest dziś. Zawsze zamyślony, ponury, milczący, a nawet mnie unika. Co roku tylko jeździ do Hrubieszowa, a co wtorku i piątku chodzi, jak dziś po téj ulicy i siedzi na téj ławeczce. Przyjdź tu kiedy przez ciekawość tego dnia, bądź pewny, że znajdziesz p. Michała. Ale pójdźmy, dosyć już téj gawędy.”

Szliśmy zwolna, a przed nami szedł p. Michał. Wkrótce zbliżyła się ku niemu jakaś młoda kobieta, piękna i pięknie ubrana, oparta na ramieniu młodego przystojnego mężczyzny. Gdy już była niedaleko, puściła ramię swego towarzysza, pobiegła ku p. Michałowi i zaczęła go całować w rękę. Pocałował ją w czoło p. Michał i wszystko troje poszli razem.

„Któż ta pani?” zapytałem.

»Nie zgadniesz?” rzekł uśmiéchając się mój towarzysz.

„Bynajmniéj,” odpowiedziałem.

»Mało masz domyślności choć piszesz dramata. To córka Maryni,” dodał, „którą po śmierci majora, p. Michał wziął, wychował najstaranniéj, wyposażył i wydał za mąż”.

„Biedny p. Michał,” rzekłem. „Pójdźmy prędzéj, chciałbym jeszcze jego twarz obaczyć.” Poszliśmy, dopędziliśmy go. Spojrzał na nas i odwrócił się; ale w myśli mojéj zostały szlachetne rysy człowieka, którego życie pełne wzruszeń bolesnych i głębokich, więcéj daleko warte, niż puste dni tych, którym się wszystko udało, którzy sobie codzień mówią: jacy my szczęśliwi, i jak głupi.” —

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 27my i zawiéra: 1) Sposób wytępienia wielowłosa (*cuscuta europaea*) z koniczyny i innych roślin pastewnych. 2) Poziom sterciska na siano w miejscach wylewom rzek podległych (z ryciną). 3) Linia porządkowa w gospodarstwie leśnem. Przez K. J. Turowskiego (z ryciną). 4) O młócarni niderlandzkiej (z ryciną). 5) O barometrach (ciężkomierzach) jako narzędziach fizycznych do przepowiadania zmian atmosfery. Przez Hipolita Nędzowskiego (z ryciną). 6) Wiadomosci handlowe.

Do młodych poetów. Pomiędzy innémi trafnémi uwagami »Powieści nieboszczyka Pantofla, wybranych i ogłoszonych przez Eleonorę Szlyrmer« znajduje się także następna przemówka do naszych młodych poetów, którą każdy »komu o tém wiedzieć należy« do serca zaprawdę wziąćby powinien. »Śmieszneto zaiste uprzedzenie, że dość być natchnionym, ażeby zająć na Parnasie miejsce. Czytajcie bijografie wielkich poetów dawnych i nowych czasów, a zobaczycie, że każdy z nich oprócz tego czucia, o którém tyle rozprawiacie, posiadał niepospolite oświecenie; wszyscy oni prawie w pocię czoła wypracowali swoje nieśmiertelne utwory, chociaż dziś śladów téj pracy nie widać, równie jak nie widać śladów rusztowań, które służyły dla zbudowania wspaniałego gmachu: wszyscy oni wreszcie znali świat i ludzi nie tylko z książek ale z doświadczeń i własnych obserwacyj. Tacy tylko ludzie mogą korzystać z natchnienia i wieszczym głosem przemawiać do narodu. Bo cóż się ceni w poezyi? wszak nie dźwięk słów dobranych w pewnym porządku i ułożonych w rymy, lecz myśl, tak jak w sztuce malarskiéj cenią się nie farby lecz idea artysty ożywiająca obraz. Tylko myśl zdrowa, głęboka, szczytna, ogrzana świętym płomieniem poetyckiego zapału, może wyjść na świat nieśmiertelną jak Minerwa z głowy Jowisza. Serce młode nieznające ludzi i zapalona pusta głowa nigdy nie ukształcą poetyi. Przeciwnie z tego szału wypada wiele złego dla poezyj, dla języka a nawet dla kraju. Młodzi ludzie ledwie wstawszy ze szkolnej ławki (a często siedząc jeszcze na niéj) przy piérwszem lepszem wzburzeniu krwi, wyobrażają sobie że to natchnienie, że to zapał poetycki, że to znak nadzwyczajnego czucia; rzucają nauki, puszczają umysł odłogiem, zaniedbują te gałęzie oświecenia, które dałyby im chleb, a krajowi dobrych urzędników, i uporczywie drapią się na Parnas! Muza ich nie znając należycie języka, kaleczy go w każdym wierszu, pegaz nędzny, niekarmiony nawet zdrowym rozsądkiem, pełznie mizernie i co chwila spada z świętéj góry w błoto nieprzystojności, w kałużę nudy, lub w ciemną jamę nadętego głupstwa. Ten rój wierszokletów upośledza tylko i kazi pojęcie o poezyi i poetach. Spytajcie dziś kogo: co to poeta? odpowie wam że to człowiek, który pisze wiersze. To wyobrażenie obiega całą społeczność. Nikt nie pomyśli o tem, że pisać wiersze, jest nic więcéj jak majsterstwo, i bez drugich zalet znaczy toż samo co malować ściany żółtą lub czerwoną farbą.«

Dziennikarstwo francuzkie wzrasta w coraz ogromniejsze i potworniejsze kształty. Od 1go czerwca zaczął dziennik *»Constitutionnel«* wychodzić w powiększonym formacie, i jest teraz wprawdzie największym, lecz oraz najniewygodniejszym do czytania ze wszystkich paryzkich dzienników. Przy téj zmianie formatu przyrzeka on złote góry swoim prenumerantom. I tak otworzył on popierwsze, pod nazwą: *»Bibliothèque choisie,«* nową rubrykę, zawierającą zbiór wszelakich prac literackich, które osobno składane być mogą, i tyleż odrębnych dzieł tworzyć będą. Oprócz tego ciągną się jak dotąd feuilletony o teatrze, muzyce; kronika miasta Paryża, kronika pałaców i t. d. Główne z owych prac literackich które *»Constitutionnel«* razem wydaje i zapowiada, są: 1) koniec »Żyda wiecznego« — 2) romans Alexandra Dumas w czterech tomach pod nazwą *»La Dame de Montsoreau«* — 3) Powieść Michała Masson i Ferdynanda Thomas — 4) »Badania nad 18tym wiekiem« przez Arsena Houssaye — 5) romans Karola Rabou pod nazwą *»Le cabinet noir«* — 6) nowy sześciotomowy romans Eugeniusza Sue, którego wyłączne spółpracownictwo dziennik *»Constitutionnel«* na 14 lat sobie zapewnił.

Olbrzymie działo. Ostatniemi czasy probowano w Liwerpolu olbrzymie działo, które dla amerykańskiego wojennego parostatku Princeton jest przeznaczonè. Trzeba było 9ciu koni do przewiezienia tego działa na miejsce próby. Najprzód wystrzelono ładunkiem 40stu funtów prochu kulę, ważącą 219 funtów; następnie wystrzelono dwie takież same kule razem, używając ładunku 45 funtów prochu. Obie próby powiodły się najpomyślniej. Huk wystrzału rozlegał się na 9 mil angielskich, a kule upadły dopiéro w trzechmilowéj odległości. Nabój podwójną kulą jest dostatecznym dowodem, iż niema się czego lękać, aby działo nie pękło. Okręt Princeton dla którego to działo jest przeznaczone, jestto ten sam parostatek, na którym zeszłego roku inne olbrzymie działo przy próbie pękło, co jak wiadomo, śmierć amerykańskiego ministra wojny, pana Upshur, i wielu innych znakomitych osób spowodowało.

Prawdziwa tolerancyja. Jeszcze przed wielką rewolucyją otrzymała gmina Montbeillard we Francyi od swojego dziedzica kosztowny kielich koscielny. Syn dawcy żyje w niezgodzie z zwierzchnością gminy, i zażądał zwrotu kielicha, a ponieważ dokument donacyi się nie znalazł, przeto straciła gmina w piérwszéj i drugiéj instancyi wytoczony ztąd proces. Lecz gmina nie chciała żadną miarą rozstać się z kielichem, który oddawna za swoje palladyjum uważać przywykła, i udała się w téj mierze do adwokata Cremieux, będącego oraz prezesem jeneralnego izraelickiego konsystorza w Paryżu, polecając mu prowadzenie procesu przy najwyższym trybunale, tak zwanej *»Cour de Cassation.«* Po odczytaniu aktów, doniósł p. Cremieux gminie, iż niema żadnej nadziei wygrania sprawy, któraby przy tem wiele kosztów wymagała, gdyż trzebaby natychmiast 500 franków wyłożyć. Gmina nie daje się tem odstraszyć i przyséła mu 500 franków, prosząc jaknajusilniéj, aby przecież proces rozpoczął. Wszakże wypadło jak p. Cremieux przewidział — gmina przegrała. Zacny adwokat donosi o tem gminie, lecz do wyroku najwyższego trybunału załącza kosztowny, złoty, dyjamentami wysadzany kielich, upraszając gminę, aby ten kielich w darze od niego przyjąć raczyła. Pięć miesięcy upływa a p. Cremieux nie otrzymuje żadnej odpowiedzi; aż oto przed niedawnym czasem przybywa list z dużym plikiem papierów, z których adwokat wyczytuje, jakie postanowienie rada gminy, wraz z zwierzchnością kościelną za zezwoleniem rządu powzięła. Oto uchwalono, aby jeden z najsławniejszych malarzy paryzkich, wizerunek żydowskiego adwokata w naturalnej wielkości odmalował, i aby ten obraz w kościele, na przeciw wielkiego ołtarza, na znak wiecznéj wdzięczności zawieszono.

Królowa Pomare. Francuzkie pisma kreślą następny obraz téj oceańskiej monarchini: Jéj król. mość jest bardzo słusznego wzrostu i prawie zbyt silnie zbudowana: ma piękne, pełne wyrazu oczy, i bardzo liczne potomstwo, które wszakże widocznie zaniedbuje, przezco po większéj części przed czasem wymarło, tak iż jéj teraz tylko czworo dzieci, — to jest trzech królewiców i jedna królewna — przy życiu pozostały. Dawniéj mieszkała królowa Pomare na wyspie Taiti, u stóp małego wzgórza, na końcu wsi Papeiti, w dużéj, pięknéj chacie, z czarującym widokiem na

morze; zwykle jednak bawiła w otwartym szałaszu o czterech prostych słupach dachem pokrytych. Jestto jej ulubione miejsce pobytu, zwane *houpas, — houpas.* Zwykłym jej strojem jest bawełniana obsłona wokoło lędźwi; reszta ciała, jako to ręce, nogi i piersi, bywa, jak u wszystkich dzikich, zazwyczaj naga. Jej król. mość lubi nad wszystko wolność, a najmilszą jéj rozrywką jest kąpać się w towarzystwie licznego orszaku i opływać po całych dniach statki wszystkich narodów na łowienie wielorybów wysłane. Pan Pritchard, angielski missyjonarz i konsul, mający u królowy Pomary wielkie zaufanie, starał się jéj tę nieprzyzwoitość wyłożyć, i wpoić w nią niektóre wyobrażenia o należytéj powadze i godności. Królowa nie śmiała się wprawdzie sprzeciwiać, lecz używała wszelkich wybiegów, aby się tego nieznośnego przymusu pozbyła. Powitawszy pana Pritchard zrana w darowanym jéj przez niego, zupełnym ubiorze damskim, prosiła go usilnie o pozwolenie zrzucenia pończoch i trzewików a wreszcie z największą rozkoszą każdą osobną część toalety z siebie zdjęła. Częstokroć wychodziła ze swojemi damami ubrana, do ulubionéj nad morzem chatki i kazała się na cały dzień chorą oznajmić; poczem rozebrała się znowu i udała się daleką, boczną drogą do jednéj z francuzkich szynkowni na wybrzeżu, gdzie z majtkami wszelkich narodów wódkę spijała i tytoń kurzyła. Dla niepostrzeżonego przemknięcia się w to miejsce, musiała przez wielkie błoto brodzić; jeżeli ją tam surowy angielski missyjonarz przydybał, była zawsze srodze łajaną, co jednak z pokorą i cierpliwością znosiła. Jakoż w ogóle jest ona bardzo łagodna i uległa, a w rzeczach wiary do przekonania łatwa; słucha we wszystkiem napomnień Pritcharda, który ją nawet na wstrzemięźliwość nakłonił, gdyż przy swojéj tuszy i sile jada i pije za dziesięciu. Zresztą pomimo wszelką łagodność nie zna się w jednéj rzeczy na żartach, i srogim gniewem się zapala, jeżli czasem długo w pończochach i w trzewikach chodzić musi.

Nieznajomy prześladowca. Do Magdeburgu, w królestwie pruskiem, przybył niedawnémi czasy jakiś podróżny, otrzymał kartę pobytu, i zabawił kilka dni w mieście, postrzegając nieustannie, iż jakiś w sinym oberroku ubrany człowiek każdy krok jego śledzi. Ile razy wstał rano, ujrzał zawsze nieznajomego przed swojemi oknami; ile razy wracał wieczór do domu, widział zawsze tęsamą ciemną postać, opartą o latarnię, z wlepionémi w niego oczyma; w teatrze siedział siny człowiek zawsze tuż za nim, przy obiedzie w restauratorni jadł zawsze u tegoż samego stołu. Piérwszych dni nie zważał podróżny na to; po kilku dniach zaczęło go to nudzić, a w końcu stało mu się to osobliwsze spotykanie tak nieznośnem, iż już tego więcéj wytrzymać nie mógł. Złowroga sina postać prześladowała go we śnie, stawając przed nim jako straszne widziadło, o bladem trupiém obliczu. Z głośnym krzykiem zrywał się biedny złoża, i przypadłszy do okna, rozwierał je gwałtownie, aby się świeżem, nocnem ochłodzić powietrzem. Na dworze, blady posępny xiężyc spozierał spokojnie na ciche ulice miasta, a tam na przeciwko, wsparta o słup przed domem, stała nieszczęsna postać, i spoglądała niemo ku otwartemu oknu. — »Ha!« wykrzyknął podróżny — »to się raz skończyć musi!« — poczem zatrzasnąwszy okno schronił się znów do łóżka, ale nazajutrz rano, nim jeszcze dzień zabrzasnął, zbiegł z pospiechem na dół, i otwiérając drzwi kamienicy, ujrzał nieznajomego w sinym oberroku. — »Mój panie!« zawołał prześladowany — »czy chcesz abym oszalał? czemu mię prześladujesz? kto jesteś? czego żądasz odemnie?« — »Mam zlecenie od policyi, nie spuszczać pana z oka« — odrzekł zapytany spokojnie. — »I czegoż u licha chce policyja odemnie!« krzyczał podróżny w największéj złości. »Mam paszport! oto jest karta pobytu! jestem obywatelem berlińskim! za cóż mię pan prześladujesz!« — »W pańskim paszporcie« — odpowiedział nieznajomy — »stoi, iż chcesz tu bawić przez jakiś czas dla rozrywki, a to go wprawiło w podejrzenie; zdarza się bowiem po raz piérwszy, iż ktoś w Magdeburgu chce bawić dla rozrywki.«

Sława — zbyt droga. Przed niedawnym czasem podróżował sławny Rubini z pewnym nie mniéj sławnym, długowłosym fortepijanistą po Niemczech. W nieustannym triumfalnym pochodzie, jakim ta podróż była, przyjął był na siebie każdy z obudwuch artystów prowadzenie niektórych wydatków, aż póki w końcu zupełnie się nie obrachują. Rubini płacił konie pocztowe i dzienne utrzymanie w oberży, pianista zastępował wszelkie koszta koncertowe. Stanąwszy u zamierzonego celu podróży, przedłożył Rubini swój rachunek, który nie małą sumę wynosił, lecz jakże się zdziwił, ujrzawszy na samym wstępie rachunku swego kolegi następującą datę: W Munichowie za entuzyjazm 200 złr. Podobnaż suma była przy każdéj muzykalnéj stacyi zanotowaną. Ogólna suma za entuzyjazm przechodziła 3000 złr. — »Czyż wpana to dziwi?« zapytał fortepianista. »Więc nie znasz sekretu jednania sobie pochwał? Albo sądziłeś może, iż łatwo jest zdybać bezpłatnie entuzyjastyczną ludność w przejeździe? Chcąc wzbudzić podziwienie, należy mu czas i trudy wynagrodzić. Za darmo wrzawy nie zrobisz. Sława jest także komedyją i wymaga też kosztów, na reprezentacyję i na statystów. Aby na tym świecie módz zbiérać, trzeba koniecznie coś posiać; nic tu bowiem samo z siebie nie rośnie — ani korony, ani nieśmiertelność.« — Rubini wysłuchał wszystko z uwagą i zapłacił swoję część entuzyjazmu, który miło przyjmował, nie wiedząc ile on go kosztuje. Lecz odtąd przedsięwziął jeździć bez towarzysza, i przyjmować tylko taką sławę i takie tryjumfy, które będą mu bezpłatnie ofiarowane.

Miara dobroczynności. Zmarłemu niedawno arcybiskupowi w Bordeaux oznajmiono razu jednego żebraczkę. — »Ileż ma lat?« zapytał — »Około 70« — »A czy istotnie jest biedną?« — »Bardzo biedną i chorą.« — »Dajcież jéj 25 franków.« — »Ale to, przewielebny panie« — rzekł kamerdyner — »jest żydówka — może więc...« — »To jéj daj 50 franków za to, że nam tyle ufała.«

Zapytano Ezopa jakim sposobem zjednał sobie imię poczciwego człowieka — Ezop odpowiedział: »Czyniłem zawsze przeciwnie temu, co inni czynią.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.